

# 01.06 – Dzień (bez) dziecka



Pięknie prezentujący się Glödis (3206)



Rozległe pola lawinisk



Aga i Tomek na świeżych lawiniskach



Kögerl (2386). W tle Kendlespitze (3085) i Blauspitz (2575)



Widoczek na Granatspitzgruppe



Ostrość na Ganot. Może kiedyś?



Nasz cel – Tschadinhorn



Powrót Agi w Alpy



„Stamtąd przyszliśmy? Za ledwie wczoraj?”



Na szczycie Tschadinhorn



Spojrzenie w kierunku Böses Weibl



Glödis, „nasza” grań i kocioł. Pozamiatołoby nas tam jak nic.



A w tym miejscu się kimnęliśmy. Bo ładny był widok.



Komiks



W górach ważny jest spokój

## Wstęp

O wypadzie w Alpy w pierwszy weekend czerwca myślałem od paru tygodni. Regularnie, czyli 78 razy na dobę sprawdzałem prognozę pogody, która nie napawała optymizmem ze względu na wyjątkowo duże opady śniegu, przynajmniej jak na wiosnę. Jednak na parę dni przed potencjalnym wyjazdem opady ustały i zapowiadała się piękna pogoda. Pozostał jeszcze jeden problem – jak o tym powiedzieć żonie? Zwlekałem do ostatniego dnia przed wyjazdem, kiedy to przy śniadaniu postanowiłem postawić sprawę twardo i po męsku: ze zwieszoną głową i niepewnym głosem oznajmiłem wtedy, że do wyjazdu namawia mnie Tomek i że

tak naprawdę to ja nawet niespecjalnie chcę jechać, no ale wiadomo...

Odpowiedź Agi mnie zaskoczyła, pomimo ukończonych właśnie 10 lat znajomości:

– Jadę z wami!

## **Dzień pierwszy z dni półtora**

Wieczorem w piątek podjeżdżamy pod dom teściów, który szczęśliwie znajduje się w Kotlinie Kłodzkiej (po drodze na Śnieżnik, natomiast Alpy to te następne góry z tyłu). Stukamy w drzwi, zostawiamy dzieci i uciekamy. One się cieszą na przygodę i my również.

Rano dojeżdżamy zgodnie z planem do Lesach. Ubieramy buty i w drogę, aż do pierwszej przeszkody, którą napotkaliśmy po jakichś 15 krokach. Okazuje się, że obryw zbocza uszkodził szlak i trzeba iść „objazdem”, nieco naokoło. Nic nie szkodzi, nie nadkładamy jakoś w ten sposób dużo drogi i po parunastu minutach znów jesteśmy na właściwym szlaku. Niedługo potem znów natrafiamy na niepokojące informacje – szlak zamknięty ze względu na obrywy i lawiny kamienne oraz zwaliska drzew. Nie uśmiecha nam się iść drugim brzegiem rzeki – drogą dłuższą i w dodatku wystawioną na pełne słońce. Ponieważ język niemiecki jest nam znany w ograniczonym stopniu to tłumaczymy sobie tekst w sposób, który nam w tej chwili bardziej odpowiada. Wg naszego tłumaczenia to tam po drugiej stronie są obrywy, a nasz szlak jest OK.

Oczywiście było inaczej i przechodziliśmy pod olbrzymimi konarami lub uprawialiśmy wspinaczkę korzeniową o stopniu trudności co najmniej III.

Szczęśliwie docieramy do polany Lesachalm. Przed nami pięknie prezentuje się Glodis, zaś gdzieś po prawej ukryty jest Hochschober. Oba szczyty są naszymi celami na te półtora dnia. Żeby nie trzymać w napięciu od razu powiem, że niespecjalnie

się nawet do nich zbliżymy.

Zostawiamy bagaż w lesie i ruszamy do góry po zaśnieżonym zboczu. Już pierwszego dnia przemoczymy buty ze względu na zalegające olbrzymie masy mokrego śniegu. To podejście w kierunku Hochschobera potraktuję jako nieudaną próbę jego zdobycia i dopiszę dolisty [„Inwentaryzacja dorobku”](#), choć miałem tu dylemat, bo szanse były tak małe, że mógłbym z czystym sumieniem potraktować to jedynie jako zwiad.

Obejrzeliśmy sobie ze zbocza potężne lawiniska, ciągnące się kilometrami. Obejrzeliśmy sunące lawiny z przeciwległego stoku, opaliliśmy mordki, zmęczyliśmy się torując w śniegu, a na koniec – weszliśmy na punkt widokowy, oznaczony na mapie jako Kögerl (2386). Ten dzień i tak uważamy za udany. Z czystym sumieniem wracamy do pozostawionego depozytu i szukamy płaskiego miejsca na namiot. Ja czuję jeszcze niedosyt więc idę na 1,5 godzinny marsz w kierunku Glodisa. Rozeznanie kończy się następującymi wnioskami: kocioł pod granią jest dostępny, ale co nas czeka w kotle, to można się domyślić – głęboki śnieg i zsypujące się na nas z otaczających zboczy lawiny. Jednym słowem – samobójstwo.

## **Dzień drugi, a właściwie połówka dnia**

Rano wychodzimy na zbocze leżące po przeciwległej stronie doliny w stosunku do naszych pierwotnych celów. Naszym celem jest Tschadinhorn (3017), który jest szczytem turystycznym, łatwym, ale niekoniecznie po tak dużych opadach śniegu. Momentami wypruwam na podejściu flaki ze względu na zapadanie się i potrzebę torowania. Ale to jest i tak znośne, ponieważ przez część trasy śnieg nas utrzymuje, delikatnie utwardzony temperaturą, jaka panowała w nocy. Docieramy w głębokim śniegu pod sam szczyt, gdzie czeka nas nieprzyjemny trawers i podejście stromym zboczem po lawinisku. Gdyby coś tu pod nami wyjechało to koniec – teren poniżej nie pozostawiał za wiele szans. Jednak czuliśmy się wystarczająco bezpiecznie, by kontynuować wejście. Dopiero pod samym szczytem zapala mi się pomarańczowa lampka, więc wycofuję się ze żlebu i trawersuję

pod skałami. Po przedostaniu się na drugą stronę skał reszta drogi okazała się formalnością. W co najwyżej kilkanaście minut wchodzimy na wierzchołek. Piękna pogoda i piękne widoki. Przed nami Grossglockner, nieco z boku Granatspitzgruppe a jeszcze dalej Grossvenediger. Mnie interesuje Böses Weibl (3119) i grań, jaka go łączy z naszym wierzchołkiem. Wszystko do pokonania, nawet w tych warunkach. Ale umęczylibyśmy się nieziemsko i potrzebowałibyśmy całego dnia. Zatem – wracamy. Wniosek z zejścia – gdybyśmy wyszli niecałą godzinę później to na szczyt byśmy nie weszli ze względu na zapadanie się w śniegu. A wyszliśmy koło 6:30 i to i tak było wg mnie zdecydowanie za późno.

Po zejściu do pozostawionych rzeczy w dolinie pakujemy się i schodzimy do samochodu. Musimy wrócić do dzieci najpóźniej nad ranem, zanim dziadki do pracy wyjdą.

Ogólnie wariactwo – takie, jakie kochamy.

**Tekst i zdjęcia:** Dziku

PS. Po powrocie chwałę się głośno:

– Treningi dały efekt! Nic mnie nie boli!

– A ja przez ostatnie 4 lata się nie ruszałam i też mnie nic nie boli – odpowiada Aga.

Nie ma to jak podtrzymywanie na duchu i dodawanie pewności siebie przez bliskie ci osoby.